

PROLOG

Procesja pogrzebowa posuwała się w kierunku cmentarza, niosąc ze sobą przesywającą powietrze w całej okolicy pieśń żalobną. W kondukcje szli niemal wszyscy mieszkańcy wsi – nie było tylko tych, którzy byli zbyt starzy, żeby ruszyć się z łóżka, i tych zbyt młodych, żeby brać udział w tego typu uroczystościach. Atmosfera była nabrzmiała od niedowierzania, choć mogło to być tylko ułudą; tego typu zdarzenia w małych miasteczkach i wsiach zawsze były wodą na młyn plotek, domysłów i debat, cała społeczność żyła nimi, a pod maską żalu, szczelnie okrywającą twarze podczas pogrzebu, malowały się pełne pokrętej satysfakcji uśmiechy, gdy każda kobieta i każdy mężczyzna w głowie układali swoją wersję historii, którą opowiedzą innym, przekonując, że to właśnie ich wersja jest jedyną słuszną.

Marek szedł wraz z tłumem, wsłuchany w tupot setki ludzkich stóp i fałszujące głosy staruszek, które jako jedyne prócz księdza pamiętały tekst pieśni (a że od urodzenia uczestniczyły w każdym pogrzebie, który odbywał się we wsi – trudno się temu dziwić), i za wszelką cenę starał się nie myśleć. Nie wychodziło mu. Obrazy kumulowały się w jego głowie, siłą wtłaczając do niej prawdy, których tak bardzo nie chciał przyjąć do wiadomości.

Kondukt dotarł na cmentarz. Po odprawieniu obrzędów właściwych katolickiemu pochówkowi trumna została opuszczona do przygotowanego wcześniej dołu w towarzystwie samotnych dźwięków trąbki (ot, taki amerykański akcent, bonus – „Tylko dziś! Wynajmij nasz zakład pogrzebowy.

All inclusive”. Litości). Wraz z opadającą na dębowe wieko trumny ziemią do Marka stopniowo docierało to, nad czym grobem stoi, choć wciąż ciężko mu było w to uwierzyć... Przecież znał tę dziewczynę od zawsze. Była najlepszą przyjaciółką jego młodszej siostry, miała zaledwie dwadzieścia lat, a teraz leżała w drewnianym pudełku na kości, zostawiona na pożarcie czerwiom (kremacja na wsi równała się społecznemu wykluczeniu rodziny denata).

Dzień był upalny, więc żałobnicy nie udawali zbyt długo, że kontemplują tajemnice życia wiecznego, pospiesznie rozchodząc się do domów, gdy tylko ksiądz zdecydował się opuścić zgromadzenie. Marek jednak stał dalej, przyglądając się z pewną nutą zaciekawienia pracy grabarzy, którzy kończyli usypywanie grobu i przykrywali go przyniesionymi przez mieszkańców kwiatami, tworząc żywy nagrobek, nim zastąpi go trwalszy, z kamienia. Stał tak około godziny, nie myśląc o niczym, nie czując niczego, oderwany od siebie i od miejsca, w którym się znajdował. Dlaczego? – nie wiedział. Oprócz pośredniej znajomości poprzez jego siostrę, z Martyną nie łączyło go absolutnie nic, a jednak przeżył jej śmierć bardzo boleśnie.

Boleśniej przeżyli ją chyba tylko jej rodzice i siostra Marka, Dorota, która była w takim szoku, że nie była w stanie pojąć się na pogrzebie; pogrążona w pogłębiającej się apatii siedziała w swoim pokoju, patrząc przez okno, wychodząc tylko na posiłki i do łazienki; i tak już od niemal tygodnia, od momentu, w którym zadzwonił telefon z informacją, że Martyna nie żyje.

„Nie żyje?! Ale jak to się stało?!” – niemal krzyczała do telefonu ich matka, gdy usłyszała przez telefon głos ciotki Anety, która przyjaźniła się z rodzicami Marty. „Zatrzymanie akcji serca” – usłyszała. „Zawał?” – „Nie, lekarz stwierdził zgon z przyczyn naturalnych”. Matce aż odebrało mowę ze zdumienia, więc odłożyła słuchawkę, nieco bezceremonialnie

przerywając konwersację. „I co ja mam powiedzieć Dorocie?” – zapytała Marka, na co on tylko odpowiedział krótko – „Nic. Ja jej o tym powiem”.

Może wyczytała to z jego twarzy, gdy otworzył drzwi, może wyczuła podświadomie, co chce jej powiedzieć – może po prostu słyszała strzępy rozmowy, którą jej matka odbyła piętro niżej. Tego Marek nie wiedział, jednak kiedy tylko wszedł do jej pokoiku i spojrzał na nią, ona wiedziała. „Nie żyje, prawda? Martyna nie żyje?”, a on nie był w stanie nic powiedzieć, tak bardzo oszołomiony był tonem jej głosu, jak gdyby słuchał o czymś, czego jesteście pewni, a jednak do samego końca mamy nadzieję, że nas to ominie. „Tak, skąd... skąd wiesz?”. „Nie wiem, braciszku...” I wybuchła płaczem.

Marek przytulił ją i bez słowa pozwolił jej płakać, aż potok łez wysechł w jej oczach, a wsiąkł w jego koszulę.

Teraz, wracając z pogrzebu, myślał o tym, czego sam się dowiedział z rozmowy z komisarzem Dąbrowskim, starym znajomym ojca, który, choć nie powinien, opowiedział mu o szczegółach śmierci Martyny. Dziewczyna wyjechała na studia jakiś rok temu. Dorota bardzo to przeżyła, ponieważ Martyna wyjechała do innego miasta – nie dostała się na wymarzony kierunek studiów, więc spróbowała szczęścia na innej uczelni, gdzie wymagania przy rekrutacji były niższe. Wynajmowała pokój w kamienicy, u starszego małżeństwa, bo była to najtańsza możliwa oferta, jaką udało się znaleźć, a jednocześnie lokalizacja była bardzo dobra – samo centrum miasta, duży pokój. Jedyne niedogodności to kuchnia i łazienka wspólna z właścicielami, no i trochę nienormalni sąsiedzi w tym samym korytarzu. Oprócz tego – ideał.

Pośrodku tego ideału pani Basia, od której Martyna wynajmowała pokój, znalazła dziewczynę martwą na podłodze przy łóżku, ubraną w czerwoną piżamę w złote liście. Cudem zdarzyło się tak, że akurat chciała o coś Martynę poprosić (nie zeznała policji o co, bo już nie pamiętała); inaczej dziewczyna

zostałaby znaleziona dopiero wtedy, kiedy smród rozkładu zaczęły przebijać się przez zatęchłą woń spowijającą cały korytarz, a sąsiedzi zauważyli, że tym razem to nie oni tak cuchną.

Wokół Martynty nie było nic, co mogłoby wskazywać, że noc przed jej śmiercią różniła się jakkolwiek od innych nocy jej życia – biurko wypełnione notatkami ze studiów, wysprzątany pokój, poukładane w szafie ubrania, na wierzchu ubiór na następny dzień; dziewczyna zdecydowanie nie spodziewała się dokonać żywota tak prędko. Pani Basia, pytana o to, czy w ostatnich dniach Martyna zachowywała się jakoś inaczej, odpowiedziała tylko, że wyglądała na bardzo nerwową, ale przypisała to w całości zbliżającej się letniej sesji egzaminacyjnej.

Zgon był na tyle tajemniczy, że Wojewódzka Komenda Policji zdecydowała się za zgodą rodziny przeprowadzić dokładną sekcję zwłok, jednak nie wykazała ona nic ponad to, co stwierdził patolog pięć minut po obejrzeniu ciała – zgon z przyczyn naturalnych, jakkolwiek irracjonalnie to brzmi, biorąc pod uwagę, że umiera osoba w wieku, w którym śmierć z przyczyn naturalnych bynajmniej nie jest... naturalna.

Wśród prywatnych rzeczy Martynty również nie znaleziono nic, co mogłoby wskazywać na jakiegokolwiek odstępstwa od normy w jej życiu. Policja była w kropce. Marek także.

Po powrocie z pogrzebu pierwsze kroki skierował do pokoju siostry, gdzie zastał ją siedzącą przy oknie, wpatrującą się tępo w przestrzeń, z wyrazem twarzy nie odbiegającym zanadto od ekspresji człowieka uderzonego pałką w łeb. Niewiele tam było emocji, jedynie lekko dostrzegalny wyraz zdziwienia, jakby nie była do końca świadoma, skąd spadł cios i kto go zadał.

– Halo, ziemia do Doroty? Siostrzyczko, jesteś jeszcze z nami, czy dla ciebie również mam już zamawiać zakład pogrzebowy i powiedzieć proboszczowi, żeby rozśpiewał się dobrze na „Anielski orszak”?

Nie mogła się nie roześmiać. Choć było to tylko ciche parsknięcie, przywołało ją do rzeczywistości.

– Tak, jestem, jestem... po prostu... wciąż nie mogę dojść do siebie.

– Ja też... wiem, jak dużo znaczyła dla ciebie Martyna...

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, a potem niespodziewanie Dorota wstała i podeszła do biurka, otworzyła szufladę, grzebała w niej przez chwilę i wyciągnęła niebieską, zapinaną teczkę.

– Pisałyśmy do siebie listy. To głupie, prawda? Mamy przecież Facebooka, telefon, e-mail... a jednak pisałyśmy do siebie. Dzięki temu czułyśmy, że dalej coś dla siebie znaczymy, nawet gdy jesteśmy daleko od siebie. Często rozmawiałyśmy przez telefon, ale listy zawsze były obowiązkowe. Taka jakby niepisana umowa. List co dwa tygodnie. Nawet w tym tygodniu dostałam od niej list...

Dorota wybuchła płaczem po raz drugi, tym razem ciszej i mniej gwałtownie, a jednak łzy płynęły potokiem po obydwu policzkach, bezgłośnie skapując na ziemię.

– Powinam była tam pojechać – powiedziała, krztusząc się łzami. – Ona tak bardzo się bała... powinam być przy niej, powinam ją stamtąd zabrać, powinam...

– Heeej, już spokojnie... spokojnie. – Przytulił ją mocno do siebie i pogładził jej długie blond włosy. Gdy nieco się uspokoiła, odsunął ją od siebie i zapytał: – Czego się bała? Czy coś się stało, ktoś jej groził?

– Nn... nie... To wszystko jest w listach... dlatego je wyciągnęłam, chciałam ci je pokazać, bo tak naprawdę ja... ja... ja nie wiem, co o tym myśleć, nie wiem, czy pokazać to na polici, czy wyrzucić, czy co z tym zrobić, nie wiem...

– Usiądź, pomafu, spokojnie. Pójdę zrobić herbatę; ty w tym czasie masz siedzieć, głęboko oddychać i uspokoić się na tyle, żeby mi wszystko składnie opowiedzieć, okay? Zaraz wrócę.

Zszedł na dół, do kuchni, nastawił wodę w czajniku, po czym zaparzył sobie i siostrze po kubku mocnej, owocowej herbaty, żadnej z tych uspokajających, ale ich ulubioną – zieloną z mandarynką, liściastą, niezwykle aromatyczną, którą zawsze pili razem, gdy tylko oboje przyjeżdżali do domu. Wrócił do pokoju na piętrze, postawił kubek przed Dorotą i wyjął jej z rąk teczkę, którą w dalszym ciągu trzymała zamkniętą na kolanach.

– Wyciągnij najpierw ten z samego dołu, pierwszy, który mi przysłała. Pisz w nim, jak wyglądało miejsce, gdzie mieszkała.

Posłuchał i przerzuciwszy plik kartek, wyciągnął arkusz ze spodu. Upił łyk gorącej jeszcze herbaty i zaczął czytać.

Droga Doro,

wiem, że mówiłam Ci już o tym wszystkim przez telefon, ale wprost nie mogę się powstrzymać, żeby Ci o tym jeszcze raz nie napisać – taka okazja! Pokój w samym centrum, 400zł, bez żadnych dodatkowych opłat, w dodatku ci państwo są tacy mili. Pani Basia ciągle przynosi mi jabłecznik (jest okropny, za każdym razem wyrzucam go do śmieci, ale nie mam serca jej tego powiedzieć) i zawsze pyta mnie, jak idą mi studia. Ale, ale – miałam Ci przecież napisać jak mieszkam. To trochę dziwne miejsce. Gdy wejdiesz z klatki schodowej przez drzwi, gdzie normalnie spodziewałabyś się wejścia do mieszkania, tutaj wchodzisz na szeroki korytarz, a po obydwu jego stronach są drzwi. Są też drzwi naprzeciwko, jedyne z szybką z hartowanego szkła, przez którą nic nie widać, jednak wpada przez nią światło, bo pokój wychodzi na południe. Oprócz mnie i Pani Basi mieszkają tu dwie rodziny, widzę je codziennie, bo pokoje mają z jednej strony korytarza, a kuchnie z drugiej. Dziwne, prawda? Szczerze mówiąc... kiedy ich pierwszy raz zobaczyłam, myślałam, czy nie zmienić lokum, ale pomału zaczynam się przyzwyczajać. Para, która mieszka przy samym wyjściu,

to z tego, co zrozumiałam, małżeństwo (ale cholera wie), które wypuścili z ośrodka dla niepełnosprawnych umyślowo (tak też wyglądają i się zachowują). Okropnie od nich cuchnie, jak otwierają drzwi do kuchni, to nie da się przejść przez korytarz, oddychając – przysięgam, odkąd tu jestem, ani razu nie słyszałam, żeby korzystali z łazienki! Drzwi w drzwi ze mną mieszka matka z dwójką dzieci, ale mam szczerą nadzieję, że opieka społeczna szybko pozbawi tę babę tytułu matki, istna patologia, po prostu masakra – przechodzę raz przez korytarz, a tu słyszę, jak drze się na sześciolatka: „jak możesz nie rozumieć matematyki, przecież to jest proste jak jebanie!”, uwierzysz? Nie wspominając o krzykach, których słucham na co dzień. Korytarz jest trochę straszny, nie ma na nim światła, a ja co wieczór muszę przez niego przejść, żeby dostać się do łazienki. Znasz mnie – wcześniej niż o północy się nie kładę, a jedynym źródłem światła na korytarzu jest to małe okienko w drzwiach, przez które wpada trochę światła lampy z ulicy. Żebyś mnie widziała, jak szybko biegłam przez korytarz pierwszy raz, gdy zawaiał wiatr przez szparę w tych drzwiach. Pomyślałam, że pewnie okno jest otwarte, ale może było po prostu nieszczelne. Podobno nikt tam nie mieszka od długiego czasu, a pokój stoi pusty, właściciele wyjechali do Anglii, czy coś. W sumie to dobrze, czuję, że nie zniósłabym jeszcze jednego sąsiada! Tęsknię za Tobą, Dorciu... Czasem myślę, czy nie uciec do Ciebie, może pójść na pierwsze lepsze studia u Ciebie i zamieszkamy razem w jakimś mieszkanku? Płonnie nadzieje, rodzice by mnie zabili! Napisz mi, jak Twój pierwszy miesiąc w akademiku, dają Ci tam żyć? Na pewno nie możesz opędzić się od chłopaków, jesteś przecież taka śliczna. :-)

Buziaczki,
Twoja Marcysia

– Nie wydawała się szczególnie zadowolona ze stancji, prawda? – spytał Marek.

– Na to wyglądało z pierwszego listu, ale potem chyba przywykła do tego wszystkiego, o czym pisała. No, może nie do końca, na pewno nie była osobą, która przyzwyczaja się do czegoś, czego nie toleruje – odpowiedziała Dorota, parskając śmiechem.

Marek wyciągnął z teczki wszystkie listy i zaczął wertować kartki, poczynawszy od najstarszych. Większość z nich nie wносиła nic ciekawego – ot, opowieści o nowo poznanych ludziach, chłopakach, narzekania na wykładowców, kolegów ze studiów, chłopaków, historie o przeżytych imprezach, poznanych chłopakach...

– Daj mi to – powiedziała Dorota, widząc coraz większy wyraz dezaprobaty na twarzy brata. Przejrzawszy kartki, wybrała kilka z samej góry i podała Markowi. – Czytaj od tego na dole, jest sprzed dwóch miesięcy.

Po rewelacjach na temat życia osobistego Martynty (jak potem oświeciła go siostra – w większości nieprawdziwych opowieści, pisanych po to, by zamaskować samotność; przez telefon rozmowa wyglądała nieco inaczej) odrobinę stracił ochotę na czytanie, ale odwrócił kartkę i przyjrzał się zapisanym na niej słowom.

Droga Doro,

jak minęła Wielkanoc? Wszystko u Ciebie w porządku? Ja w tym roku nie pojechałam na święta do domu. Wiem, może przesadzam, ale chciałam się dobrze przygotować do tych wszystkich kolokwiów, które nasi przeurzejmi wykładowcy zapowiedzieli na po świętach. Nazwij mnie paranoiczką, proszę bardzo, ale potem to ja będę miała czyste konto! :-) Wiesz, ostatnio chyba naprawdę trochę mi odbija. Pamiętasz, jak w Wielki Piątek dzwoniłam do Ciebie i mówiłam, że sąsiedzi chyba zostawili otwarte okno, bo w całym korytarzu było zimno jak w zamrażarce? Jak tylko odłożyłam telefon, wyszłam na zewnątrz, żeby zobaczyć, czyje okno jest niedomknięte, wiesz,

myślałam, że pewnie ci cholerni syfiarze znów coś narobili, ale to nie ich okno było otwarte, tylko okno w pokoju obok, w tym, w którym nikt nie mieszkał od kilku lat. Co zabawne, jak wróciłam do środka, na korytarzu nie było już zimno. Pomyślałam, że może Pani Basia tam weszła, otworzyła okno, żeby trochę wywietrzyć, a potem zamknęła, ale zapytałam ją o to następnego dnia i powiedziała, że nikt nie ma klucza do tego pokoju i że na pewno nikt do niego nie wchodził od dobrych pięciu lat. Dziwne, nie? Pewnie nie pisałabym Ci o tym, gdyby nie to, że często wydaje mi się, jakby ktoś był za ścianą, słyszę skrobanie, raz nawet słyszałam, jak ktoś chodził po pokoju, przysięgam! A może to tylko moja wyobraźnia płata mi figle? Muszę na jakiś czas odstawić Stephena Kinga. :-) Sama nie wiem, co o tym myśleć, ale czasem naprawdę się boję. Chyba jednak doskwiera mi samotność, ciężko myśleć racjonalnie, kiedy nie mam się do kogo przytulić w nocy i boję się własnego cienia.

Tęsknię za Tobą, mam nadzieję, że zobaczymy się za tydzień, tak jak rozmawialiśmy!

Twoja Marcysia

– Czytaj następny – poleciła Dorota.

Droga Doro,

to już przestaje być zabawne! Poszłam dzisiaj do Pani Basi powiedzieć, żeby zrobiła coś z tymi przeklętymi bachorami, które mieszkają z matką naprzeciwko, bo nie da się normalnie spać. Co dzień słyszę jak drą mordy, a na domiar złego przez cały ostatni tydzień beczą po nocach. Nie mogę spokojnie zasnąć, bo ciągle je słyszę, niemal tak wyraźnie, jakby były za ścianą, a nie po drugiej stronie korytarza. A wiesz, co powiedziała mi na to Pani Basia? Że to niemożliwe, bo dzieci były przez cały tydzień u swojego ojca, na Mazurach. Jasne. To ciekawe przez kogo nie mogłam spać?

Przepraszam, że tak wylewam swoje frustracje, ale nie chciałam Cię tym męczyć przez telefon, poza tym od razu czuję się lepiej, jak przelałam to na papier. Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zła. :-)

*Buziaczki,
Twoja Marcysia*

– Chyba jednak miałaś rację, nie przywykła do sąsiadów – zaśmiał się Marek.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim dziwne? Pamiętam jak dziś, że widziałyśmy się krótko po tym, jak przysłała mi ten list. I okazało się, że te dzieci naprawdę były w tym czasie u swojego ojca. Powiedziała mi, że pewnie słyszała płacz dzieci, które mieszkają piętro wyżej, ale...

– Co?

– Pani Basia twierdziła, że oprócz tej baby w całej kamienicy nikt inny nie ma dzieci.

– Może przyjechały do kogoś z wizytą? I płakały po nocach, bo tęskniły do domu?

– Może tak... a może nie. Czytaj następny list.

Droga Doro,

chyba naprawdę wariuję, albo coś tu jest nie tak. Coraz częściej i głośniejszy słyszę drapanie za ścianą – może to szczury? Nie byłoby fajnie, gdyby przegryzły się do mojego pokoju. Muszę o tym porozmawiać z Panią Basią. Ostatnio, wracając z uczelni, spojrzałam na okna na moim piętrze i widziałam kobietę w średnim wieku stojącą w oknie w pokoju, który jest za moją ścianą. Tego samego dnia, myjąc naczynia, zagadałam do Pani Basi, że w końcu ktoś wprowadził się do tego mieszkania, ale ona spojrzała na mnie jak na wariatkę, więc nie powiedziałam jej, co widziałam. Ale ta kobieta naprawdę tam była! Znasz mnie, przecież wiesz, że nie wymyśliłabym sobie tego, chora wyobraźnia to jedno, ale przywidzenia to co innego, a ta kobieta na pewno mi się nie przywidziała!

A może po prostu jestem przemęczona i naprawdę nikogo tam nie było? Sama już nie wiem.

Poczułabym się o wiele lepiej, gdybyś przyjechała do mnie na weekend. Co Ty na to? Poszłajemy się po sklepach, poszły na jakąś dyskotekę, spędziły razem trochę czasu.

Daj znać, co o tym myślisz.

Twoja Marcysia

– I co, pojechałaś do niej?

– Tak, byłam u niej tydzień po tym, jak przysłała mi list. To był całkiem miły weekend, ale naprawdę nie wiem, jak ona wytrzymała w tamtej norze.

– Aż tak źle?

– Wiesz, sam pokój był naprawdę w porządku, ale cała reszta? Masakra. Jak ta szurnięta dwójka miała otwartą kuchnię lub łazienkę, to zwyczajnie nie dało się przejść przez korytarz, a do tego dwa popieprzone psy, które szczekają o piątej rano... A jeszcze bardziej popieprzona była właścicielka, wyobrażasz sobie? Sobota, piąta rano, a ty słyszysz darcie mordy na cały korytarz: „Tuśka, ty popierdolona pipo, chodź tutaj”.

Marek nie mógł się powstrzymać i śmiech po prostu z niego eksplodował. Dorota też nie wytrzymała i przez chwilę śmiali się razem, na moment zapominając o tym, że dziś pochowali bliską osobę.

– O... opowiadaj dalej – powiedział Marek, wciąż zanurzając się śmiechem.

Dorota otarła wilgotne od łez rozbawienia oczy i podjęła opowieść.

– No więc... no. Stacja nie była najfajniejsza, ale Martynie wydawało się to nie przeszkadzać, a przynajmniej dobrze grała przez ten czas, kiedy u niej byłam. Widziałam jednak, że coś jest nie tak.

– Powiedziała, o co chodzi?

– Powiedziała mi tylko tyle, że myśli o zmianie stacji, bo tutaj ma problemy ze spaniem. Jak ją zapytałam, co się dzieje, powiedziała tylko, że jest za blisko ruchliwej ulicy i w nocy nie może zasnąć, bo jeździ zbyt dużo samochodów. Faktycznie, było dość głośno, ale na pewno nie przeszkadzało to w spaniu.

– Nie uwierzyłaś jej, co?

– Ani trochę. Nie drażylałam tematu. Pomyślałam, że jeśli dzieje się coś bardzo poważnego, na pewno kiedyś mi o tym powie. Ale chyba wiedziałam już wtedy, co ją niepokoi.

– Co takiego?

– Wiesz, drugiej nocy u niej słyszałam to chrobotanie w ścianie. Od razu pomyślałam, że to szczury, tak też to brzmiało. Lecz potem... potem usłyszałam, jak ktoś wychodzi na korytarz i puka do drzwi Martynty. Pomyślałam, że to pani Basia coś chciała, więc wstałam i otworzyłam drzwi, ale... nikogo tam nie było.

– Co ty mówisz?

– No poważnie. Skoro już wstałam, to poszłam do łazienki po drugiej stronie korytarza i kiedy wracałam... na korytarzu było tylko światło wpadające przez to małe okienko z pokoju obok Martynty. I...

– I co?

– I jestem pewna, że widziałam, jak ktoś po nim chodzi. Na pewno widziałam. To nie mógł być cień drzewa, bo tam nie było drzew. To wyglądało jak cień człowieka...

– Niech zgadnę... Kobiety?

Dorota spojrzała poważnie na brata.

– Widzę, że zaczynasz myśleć o tym, co ja?

– Trudno nie myśleć... Pamiętaj, że ja też czytam dużo Stephena Kinga. – Marek uśmiechnął się, mówiąc to, ale jakoś bez przekonania. – Powiedziałaś jej o tym?

– Zwariowałaś? Oszalałaby ze strachu, a ja nie chciałam jej bardziej martwić.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeli, pogrążeni każde w swoich rozważaniach. W ręku Marka został już tylko jeden list. Dopił do końca herbatę i przeczytał. Ten list różnił się od pozostałych. Na początku nie wiedział, w czym tkwi różnica, jednak po chwili zrozumiał – pismo było niechlujne, pospieszne, jakby pisała je stara babcia w późnym stadium parkinsona, a nie młoda dziewczyna, która przepisywała całą kartkę, jeśli tylko zdarzyło się jej choć jedno skreślenie. Zaciekawiony zaczął czytać.

Droga Doro,

boję się. Spędziłam cały dzień na szukaniu stancji, nie chcę zostać tu ani chwili dłużej. Naprawdę się boję. Dziś w nocy wydawało mi się, że ktoś jest w moim pokoju, naprawdę tak myślałam. Kiedy wychyliłam głowę spod kołdry, zobaczyłam, że drzwi są lekko uchylone, a przecież zamykałam je na noc na klucz! Pytałam Pani Basi, czy była po coś w moim pokoju, tylko ona miała klucz, ale powiedziała, że nie. Kiedy opowiedziałam, że ktoś otworzył drzwi, tylko się uśmiechnęła i powiedziała, że pewnie zapomniałam ich zakluczyć, jak wróciłam z łazienki, a przeciąg je uchylił, nie ma powodu do obaw. Jasne. Nie mówiłam Ci o tym wcześniej, ale czasem wieczorem, gdy wracam z łazienki, wydaje mi się, że ktoś chodzi po tym zamkniętym pokoju. Widzę cień przesuwający się przez plamę światła, na pewno mi się nie przywidziało! Zastanawiam się, czy nie pojechać na jakiś czas do domu, dopóki nie znajdę czegoś innego. Tak bardzo bym chciała, żebyś tutaj ze mną była, przy Tobie zawsze czuję się znacznie lepiej.

Marcysia

– Nie rozumiem, dlaczego nie zadzwoniła, skoro tak bardzo się bała? Po co pisała list, który przy naszej poczcie będzie szedł co najmniej trzy dni?

– Ależ dzwoniła, Marek. Dzwoniła niemal codziennie, ale pisała też listy, bo chyba już weszło nam to w nawyk, że nawet

jeśli o czymś rozmawialiśmy przez telefon, pisałyśmy sobie o tym potem w listach. Pokazuję ci je, bo pewnie nigdy byś mi nie uwierzył, gdybym ci po prostu opowiedziała, albo powiedziała, że przesadzam. A tak zobaczyłeś na własne oczy.

– Przyznaję, masz rację. Kiedy przyszedł ten ostatni list?

– Dwa tygodnie temu, jakieś cztery dni przed śmiercią Martyny.

– Rozmawialiście o tym jeszcze?

– Tak, gdy tylko przeczytałam ten list, od razu do niej zadzwoniłam, ale zachowywała się bardzo dziwnie.

– To znaczy?

– Nie chciała rozmawiać, drżał jej głos, powtarzała tylko w kółko, że jutro musi wrócić do domu, że nie wytrzyma tam ani minuty dłużej. Chciała nawet od razu się spakować i jechać autostopem, ale wybiłam jej to z głowy, kazałam poczekać do rana.

– Nie pojechała następnego dnia, prawda?

– Nie. Dzwoniłam do niej przez cały dzień, ale nie odbierała. I wtedy, dzień przed jej śmiercią, zadzwoniła do mnie. Było bardzo późno w nocy.

– Co mówiła?

– To było... straszne. Na początku nie poznałam jej głosu, bo mówiła szeptem. Marek, ona krztusiła się łzami, tak bardzo się bała podczas rozmowy ze mną.

W oczach Doroty zebrały się łzy i popłynęły bez ostrzeżenia. Marek podszedł do siostry, objął ją, po czym delikatnie odsunął się na długość ramion.

– Co ci powiedziała? – zapytał, z powagą patrząc w lśniące od łez oczy.

Dorota, wciąż zanosząc się urywanym szlochem, zaczęła opowiadać.

– Powiedziała, że wczoraj w nocy przysłała do niej kobieta. Powiedziała, że była prawie dokładnie taka, jak w japońskim „Ringu”, tylko że prawdziwa. Kobieta zapytała ją, dlaczego chce

od niej uciec, czy Martynie nie podoba się jej towarzystwo. Na samo wspomnienie jej głosu robi mi się zimno... Nigdy nie słyszałam nikogo tak przerażonego.

– Nie pomyślałaś, że może po prostu miała zły sen?

– Tak, pomyślałam. Nawet ją o to zapytałam, ale ona tylko się zaśmiała. Tak... sztucznie, nienaturalnie. Jak obłąkana. A potem... potem powiedziała, że ta kobieta przyjdzie do niej jutro. Tak jej powiedziała. „Jutro przyjdę do ciebie, żebyś nie bała się ciemności”, tak mi opowiedziała Martyna. Potem powiedziała tylko jedno zdanie.

– Hm?

– „Boję się”. I zakończyła rozmowę. Następnego dnia znaleźli ją martwą.

Już nie płakała. Może nie miała już czym, tak wiele łez wylała w przeciągu ostatnich kilku dni, a może po prostu spod łagodnej powłoki zaczęła wyzierać wściekłość, bo z jakiejś nieznaney, nielogicznej przyczyny straciła swoją najlepszą przyjaciółkę. Jeszcze raz sięgnęła do szuflady i wyciągnęła z niej nieotwartą jeszcze kopertę.

– To przyszło wczoraj, spójrz na datę nadania.

– Dzień śmierci Martyny?

– Dokładnie. Musiała go napisać jeszcze zanim do mnie zadzwoniła. Śmiertelnie bałam się go otworzyć, ale teraz, kiedy ty tu jesteś... możesz go przeczytać? Ja nie jestem w stanie.

Marek bez słowa wyjął kopertę z rąk siostry, rozerwał ją, rozprostował papier zapisany chwiejnym, pospiesznie kreślonym pismem i, wzięwszy głęboki oddech, zaczął czytać na głos.

Droga Doro,

ona nie pozwoli mi wyjść, tak mi powiedziała. Ten list wyślę przez Panią Basię. Telefon nie działa i nie mam Internetu. Wiem, że to wszystko JEJ sprawka. Powiedziała mi, że zabiłam jej dzieci i teraz muszę za to zapłacić. Gdy odpowiedziałam,

że nie wiem, o co chodzi, powiedziała mi tylko: „Nie kłam, ty szmato, dobrze wiem, że to z tobą uciekł ten sukinsyn, który spłodził mi synów, zostawił nas, cholerny kurwiarz”, a ja nie miałam nawet słów, żeby zaprzeczać, tak bardzo się bałam. Powiedziała mi, że jeśli ucieknę, to i tak mnie znajdzie i dalej będzie odwiedzać. A potem zabierze mi wszystko, co dla mnie najważniejsze, tak jak ja rzekomo zabrałam jej to, co było najważniejsze dla niej. Boję się, tak bardzo się boję, ale nie ucieknę, bo wtedy ona przyjdzie do Ciebie... bo to Twoja przyjaźń jest i zawsze była dla mnie najważniejsza. Dziękuję. Pozdrów też Marka. Wiesz... od zawsze się w nim podkochiwałam. Ty pewnie i tak to zauważyłaś, ale mam chociaż nadzieję, że on nie, nie chciałbym, żeby taką mnie zapamiętała.

Muszę kończyć. Słyszę, jak do mnie idzie. Jest środek dnia, ale to jej nie przeszkadza. Nie widzę jej wtedy, ale czuję jej zimny dotyk. Boję się, Dorciu. Śmiertelnie się boję. Nie wiem, jak się wy dostać, tak bardzo się boję, tak bardzo, bardzo się boję. :-)

Twoja Marcysia

Gdyby ktoś podłączył Marka w tym momencie do EKG, właśnie wołaliby pielęgniarkę z dożylnym środkiem na obniżenie ciśnienia. Jego serce galopowało jak wściekle, przysięgłby, że słycać je było w domu po drugiej stronie ulicy. Spojrzał na Dorotę; jej organizm chyba podobnie przyjął tę ostatnią wiadomość od najlepszej przyjaciółki; cały kolor odpłynął z jej twarzy, oddychała spazmatycznie, wydawało się, że za chwilę zemdleje. Marek, widząc to, zerwał się z krzesła, złapał siostrę i mocno nią potrząsnął.

– Hej, już, spokojnie, Dorota. Dora! Hej! Już, wystarczy.

Otworzył okno, żeby wpuścić do środka świeże, choć ciężkie, majowe powietrze i pobiegł po wodę dla siostry. Kiedy wrócił, jej oddech nie był już tak urywany, ale w dalszym ciągu nie wyglądała najlepiej. Napila się wody, spoglądając z niema wdzięcznością na brata, a potem zapytała: